

## Uśmiech Jaśka

### *Opowiadanie makabryczno-sensacyjne*

Jasiek Niekrasz zachlał się na śmierć.

Żalu po sobie nie zostawił, majątku również. Jedynie odebrał przyjemność Woźniakowej, która zbyt dobrą kobietą była, by mężowi nadal prawić morały kończące się wykrzyknikiem: „Bo skończysz jak Jasiek!”. To już wołała, by jej mążonek docierał czasami do domu szerokimi zakosami, ale jednak żywy.

Prosektorium na tarnogórskiej „Trójce” nie było jednak miejscem chwilowego spoczynku Jaśka. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że to on. Wszystko utrudniał brak głowy denata, więc zawartość czarnego worka na zwłoki trafiła do Zakładu Medycyny Sądowej w Katowicach. Była to niemal najdłuższa podróż Jaśka. Dalej był tylko we Wrocławiu, ale to przypadkowo. Zwyczajnie, wracając z Bytomia do Tarnowskich Gór, zasnął w toalecie pociągu relacji Katowice - Wrocław, z której wyciągnęli go dopiero na stacji Wrocław - Wschód.

Tak naprawdę głowę stracił już dawno, chociaż nie w tak dobitnie fizycznym sensie. Woźniakowa regularnie wrzeszczała: „Gdzie ty masz łeb, zaszczyany śmierdzielu?!”. To pytanie nabrało teraz zupełnie innej wymowy.

Że Jasiek się zachlał, początkowo wcale nie było tak oczywiste. Cóż, brak głowy nieboszczyka kierował podejrzenia zdecydowanie w innym kierunku. To raczej opinia publiczna, z braku dokładnych informacji ze strony policji, sama wydała wyrok w tej sprawie. Woźniakowa przodowała tu w jednoznacznych przypuszczeniach, ale ona niewątpliwie była stronnicza. Miała swoje powody: sprawa rabatki już od dawna była powodem zerwania sąsiedzkich pokojowych stosunków.

Przed zaniedbanym familokiem, w którym mieszkała ze swoją brzydszą połową, własnoręcznie wykarczowała na podjeździe kawał ziemi i posadziła tam kwiatki. Przyznać trzeba, że dbała o nie. Plewiła, przesadzała, podlewała. I głównie o to podlewanie szło, gdyż Jasiek aktywnie w tej czynności ją wspomagał. Przy czym robił to bez pomocy konewki. Z jakiegoś powodu akurat przy rabatce Woźniakowej jego fizjologia mówiła stanowczo „Teraz!”. Protesty niefortunnej ogrodniczki zdały się na nic i to co zapowiadało się na krótki sąsiedzki zatarg, przeszło - dosłownie i w przenośni - w trwającą od lat wojnę podjazdową.

Ludziska od początku wiedzieli, że chodzi o Jaśka. Szczęśliwy znalazca, stróż nocny Walenty Kocik, widział wyraźnie dość ekstrawagancki płaszcz, w którym Jasiek paradował od dobrych kilku lat i to niezależnie od pory roku. Caritas obdarował kiedyś Jaśka oryginalnym, skórzanym płaszczem z puszystym, futrzanym kołnierzem. Właściciel ubarwił go szybko wielokolorowymi plamami różnych rozmiarów i kształtów, a stylizację dopełnił cytrynowo-zieloną czapeczką z cypelkiem. Brak czapeczki Walenty przegapił, ale tłumaczy go fakt, że górna część Jaśka była zanurzona w niewielkim stawku przylegającym do nasypu kolejowego.

Lekarz medycyny sądowej wkrótce potwierdził opinię Woźniakowej. Wszystko wskazywało na to, że zmarły przekroczył zalecaną przez lekarzy dawkę spirytusu - jak się okazało - ze skutkiem ostatecznym. I to w zasadzie wystarczało do zamknięcia sprawy, jednak nikt nie potrafił sensownie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego po tym jak wyzionął ducha, dodatkowo pozbył się głowy? Obecność osób trzecich była nadzwyczaj niewygodna dla policji. Wersja, w której Jasiek samodzielnie skraca swój wzrost, była prostsza. Jednak przeprowadzający sekcję wykluczył taką możliwość, upierając się przy odmiennym kolejności zdarzeń.

- Rzeeszaak.

- Jak?

- Sze mówiem, Rzeeszaak.

- A imię? - Młody aspirant czuł się bezradny.

- Nie pamiętam - o dziwo, bardzo wyraźnie wyartykułował przesłuchiwany osobnik.

W akcie desperacji aspirant wymyślił, jak rozwiązać kwestię utrudnionej komunikacji z niewydolnym wokalnie osobnikiem - zapakował go do radiowozu i zawiózł na izbę wytrzeźwień. Musiał co prawda jechać aż do Bytomia, ale i tak wydawało się to dużo szybsze i prostsze niż próby ustalenia danych personalnych świadka. No, może świadek to za duże słowo, jednak na pewno miał coś wspólnego ze sprawą. Gdy już udało mu się wgramolić po schodach do komisariatu na Bytomskiej, nie był w stanie wyjaśnić celu wizyty, ale cytrynowo-zielona czapka z niewielkim cypelkiem, którą dzierżył w dłoni, mówiła sama za siebie.

Karol po raz kolejny czytał sprawozdanie z sekcji zwłok denata znalezionej przy bocznicy kolejowej w Lasowicach. Niestety, nie miał przy sobie słownika łacińsko-polskiego ani żadnego podręcznika medycyny sądowej, czego bardzo żałował.

- Chyba rówieśnik Hipokratesa to pisał - mruknął pod nosem.

Jakiś obraz jednak powoli się z tego bełkotu wyłaniał. Na ile dobrze zrozumiał, głowę denat miał obciętą dość fachowo, gładko, jednym, równym cięciem. Wyobraził sobie nawet efektowną scenę z mieczem samurajskim w roli głównej, ale w protokole była też wzmianka o obecności tlenków żelaza na trzecim stopniu utlenienia. Osobiście nie widział różnicy pomiędzy pierwszym a piętnastym stopniem tego utlenienia, na wszelki wypadek zapytał jednak Daniela, podinspektora. Ten przyznawał się do małego romansu z nauczycielką chemii w pobliskim liceum, więc automatycznie był kimś w rodzaju guru z tej dziedziny. Okazało się, że chodzi o zwykłą rdzę.

Zardzewiały miecz samurajski już nie bardzo chciał się zwizualizować. Ale jakaś zabytkowa, staropolska szabla? Kto wie?

Komisarz przejrzał również protokół z przesłuchania nowego świadka. Gościu nawet na trzeźwo gadał od rzeczy. Że się to w ogóle dało czytać, było pewnie zasługą przepytującej go aspirantki, Moniki. Ten cały - tu zerknął na pierwszą stronę - Grzesiak - znał Niekrasza. Podczas przesłuchania kilka razy z godnością zaznaczył, że tylko na płaszczyźnie towarzyskiej, co mogło oznaczać, że nie pił z Jaśkiem w swoim mieszkaniu, ale wyłącznie na ławce w parku. Kiedy wracał wczoraj nad ranem z „kulturalnego spotkania w gronie kilku znajomych z pracy”, dostrzegł czapeczkę w trawie obrastającej kolejowy nasyp. Zaprzagnął natychmiast poinformować „stosowne organy”, gdyż czuł, że to jego „obywatelski obowiązek”. Monika chyba jednak przesadziła z inwencją twórczą...

- To co, puścić gościa od czapki? - Akurat do pokoju zajrzał Daniel.

Karol rzucił okiem na pierwszą stronę. Adres był, a nawet numer telefonu.

- Wygląda na to, że to jakiś porządny menel, w razie czego mamy na niego namiary. Puszczamy. - Drzwi klapnęły.

Czapeczka zmaterializowała się jakiś kilometr od miejsca ostatniej kąpieli Niekrasza. Wypadało, by ktoś tam pojechał poszukać kompletu do nakrycia głowy. Świadców zgodnie twierdzili, że Niekrasz bywał sfatygowany, ale czapeczkę zawsze miał na miejscu. Czapeczka, płaszcz i beztroski, szeroki, cokolwiek dziurawy uśmiech były ponoć jego znakiem charakterystycznym.

- Dyżurny, sprawdź ilu masz wolnych ludzi. No i załatw kogoś z psem. Musimy trochę poszukać.

Kolejny telefon wykonał do Moniki.

- Cześć, młoda. Jak spisywałaś tego Grzesiaka, to, na twoje oko, był wiarygodny?

- Raczej tak. Przesadził tylko z tymi kolegami z pracy, bo w życiu nigdy nie pracował na etacie - spokojnie odpowiedziała.

- Może zbierał złom? - podsunął Karol - w tym mógł mu ktoś pomagać.

Kiedy to powiedział, w głowie coś zaczęło go uwierać. Miał nadzieję, że to była jakaś myśl, a nie początki migreny.

Woźniakowa niechętnie musiała przyznać, że Jasiek zajmował dość istotne miejsce w jej życiu. Kiedy nie było już na kogo narzekać, krzyczeć i pomstować, zapadła jakaś niewytłumaczalna pustka, której nie sposób było wypełnić nawet utyskiwaniem na męża.

Niestety, jej ślubny wstrząśnięty losiem Niekrasza, od prawie dwóch tygodni nie pił. Był to wyczyn niemały, gdyż Woźniak pić lubił i potrafił.

Miał w tym niezłą wprawę i doświadczenie sięgające ojca, dziada i pewnie też pradziada. Wszyscy oni byli, jak to się kiedyś mówiło, ajzynbaniokami. Niby, że kolejarze, ale Woźniakowa twierdziła, że to od zakutych jak żelazo bani, czyli głów. Dziadek wspominał, że za bajtla mieszkał w Chorzowie Batorym, tuż przy torach kolejowych. Miał wtedy zwyczaj „pić na cugi”. Co za oknem przeleciał cug, to jest pociąg - na stół, do ręki i w gardło wjeżdżała kolejka bimbru, a później, gdy dziad trochę dorobił się w życiu - wódki. Oczywiście, czasem składy PKP śmigały jeden za drugim, więc dziadzio karnie stosował się do wymyślonej przez siebie reguły i wlewał w siebie odpowiednią liczbę kielonków pod rząd.

Z kolei ojciec Woźniaka zawsze rozrzewniał się przy sentymentalnej opowieści, jak to w latach siedemdziesiątych na tarnogórskiej kolei opracowano plan przeciągnięcia zabytkowego parowozu Tp1-18 z parowozowni na ulicę Pokoju. Profesjonalny sprzęt był wtedy poza zasięgiem, więc „chłopaki pierwsi się naprali, potem cosik wysztudiurowali” i z nie przymierzając ułańską fantazją podczepili do ciuchci najnormalniejszy samochód osobowy. Kierowca na gazie jechał, a towarzystwo na nie mniejszym gazie pomagało jak mogło i pchało te czterdzieści parę ton zwykłą drogą. Tym sposobem skwerek przed ówczesnym Technikum Kolejowym wzbogacił się o oryginalny zabytkowy pomnik, zaś asfalt między Częstochowską a Pokoju o dziury i koleiny przypominające powierzchnię Księżyca. To były czasy, pra?! - zwykł był kończyć opowieść dumny tatko, wznosząc przy tym toast.

Woźniak ani tak barwnych kolejarских wspomnień, ani pijackich przygód nie miał, jednakże jego nagła abstynencja była wręcz szokująca. Dodatkowo zaczął sam zmywać po obiedzie, co wykluczało jakiegokolwiek pretensje pod jego adresem. To doprowadzało Woźniakową do furii. Musiała znaleźć kogoś do opierniczania, czuła bowiem wyraźnie, że jest u kresu wytrzymałości. Naprawdę brakowało jej Jaśka.

Czarny jak smoła policyjny owczarek niemiecki rozdziawił paszczę i znudzony położył się na podłodze.

- Dokładnie sprawdzaliście? - Karol zapytał bez większej nadziei w głosie. Owczarka znał ze słyszenia, bił na głowę inne psy tropiące w całym województwie.

- Nie. - Dość bezczelnie stwierdził młody opiekun psa. - Pozostało nam jeszcze wszystko od Miasteczka Śląskiego na północ. Ale na to potrzebujemy kilku miesięcy.

- Dobra, dobra - odparł pojednawczym tonem - ten wasz debeściak na pewno by coś znalazł.

Zarówno pies jaki i jego opiekun, wbili nieprzyjemny, twardy wzrok w Karola.

- Ares - wycedził młody - potrafi więcej niż większość aspirantów w waszej komendzie. Ale nie jest od tego, żeby za was odwalać robotę. Głowy tam nie było.

- Po prostu pytam. - Pies łakomie wpatrywał się w Karola: - Zazwyczaj blisko czapki można znaleźć głowę i...

- Sprawdźcie dokładniej składnicę złomu. Ares znalazł tam jakiś trop.

- Dlaczego akurat tam? - Karol dopiero sekundę później zdał sobie sprawę, że znowu nadepnął na kompetencyjny odcisk opiekuna.

- Zapytaj Aresa. - Równocześnie stanęli na wszystkie sześć nóg i z godnością zaczęli opuszczać pokój.

Przy wyjściu przystanęli.

- Bo denat tam na pewno był. Cały albo w kawałkach, ale był.

Owczarek zamachał wesoło ogonem i zniknął za drzwiami.

Męska szatnia w niewielkim baraku ochrony kolei stanowiła źródło niezapomnianych doznań dla zmysłów Moniki. Zapach przepoconych skarpet suszących się na kaloryferze, poparty bukietem dolatującym z kilku przemoczonych kurtek, wiszących tak na oko od tygodnia na olbrzymim gwoździu przy wejściu, stanowiły wstrząsającą mieszaninę. Litrowy słoik pełen petów na parapecie i niedomknięte drzwi kibla były już niepotrzebne. Zasłona z nikotynowego dymu otulała wszystko jak londyńska mgła, wyciskając soczyste łzy z oczu.

- Pani tu czego? - zrećnie, bez pomocy palców, półleżący na krześle sokista przesunął papierosa z lewego w prawy kącik ust.

- Aspirant Marek, komenda policji - wykrztusiła. Miała nadzieję, że w toksycznej mieszaninie zastępującej tu powietrze pozostało jednak trochę tlenu.

Bez słów wyciągnęła odznakę. Gestem pokazała w kierunku drzwi wejściowych. Nie czekając na strażnika wypadła na zewnątrz. Przypomniała sobie pierwsze zajęcia w prosektorium. Tam wytrzymała całą godzinę...

- Może mi pan pokazać trasę waszego obchodu? - zapytała bez kurtuazyjnych wstępów mężczyznę, który wyłonił się zza drzwi.

- No, ale ja zaczynam zmianę... - był wyraźnie zmieszany, czy też zaniepokojony.

- To może po prostu przejdę się razem z panem?

- Nie wiem, czy kierownik pozwoli...

Nagle z widoczną ulgą wskazał na dwóch zbliżających się pracowników kolei.

- Oni kończą zmianę, to pomogą. - Odwrócił się na pięcie i ukrył w gęstym smrodzie za drzwiami. Nie spodziewał się pogoni.

Miał rację.

- Przejrzałaś dokładnie tę składnicę? - zapytał Karol łagodnie. Po ostatnim spotkaniu z psem tropiącym dość ostrożnie dobierał intonację swoich pytań.

- Tam można grzebać przez miesiąc. Bez koparki, dźwigu czy materiałów wybuchowych nie sprawdzisz wszystkiego. - Monika była jakaś zamyślona. - Ale bardziej mnie zastanawia ten sokista.

- Jaki sokista?

- Kiedy dotarłam do ich dyżurki, był tam tylko jeden człowiek. Nie bardzo chciał mieć ze mną do czynienia, wolał, żeby jego kumple ze schodzącej zmiany ze mną rozmawiali. Tamci oprowadzili mnie po terenie, pokazali składnicę złomu. A ten polecił do roboty jakby mu się paliło za tyłkiem.

- I co?

- I nic. Według mnie ich praca to straszna rutyna, ciągle ten sam kawałek torów, banal. Nie ma pośpiechu. A facet reaguje, jakby jutro miał być koniec świata. Może byśmy go jeszcze przemaglowali? Jutro go zlokalizuję i ściągnę na przesłuchanie. Podpiszesz wniosek?

- Głupio pytasz. - Karol odczekał kilkanaście sekund. Ucisk w głowie nie ustępował od kilku dni. - Tylko proszę sprawdź jeszcze raz tę składnicę. Myślę, że... po prostu mam jakieś przecucie.

- Ty myślisz? I do tego coś czujesz? Zaskakujesz mnie. - To już mogła sobie darować.

- Zdarza się. - Nie czuł się obrażony. Ucisk w głowie był zbyt nieustępliwy, by go ignorować.

Lokalny „Gwarek” miał wreszcie temat. Oczywiście, ptasia grypa w hodowli indyków w Brynku i utylizacja dwudziestu czterech tysięcy ptaków to jest coś, jednak denat bez głowy stanowił niecodzienną gratkę. Tym bardziej, że napływały wciąż nowe informacje od rzekomych świadków, informatorów i przeróżnych życziwych. Informacjami tymi gazeta dzieliła się bardzo chętnie, w odróżnieniu od policji, która informacjami nie dzieliła się wcale.

Adrian, młody wilk od niedawna zatrudniony w redakcji, codziennie dobijał się do komisariatu na Bytomskiej chcąc dowiedzieć się czegokolwiek o sprawie.

- Nalegam jednak na rozmowę z panem komisarzem. - Adrian starał się być wzorem stanowczości i oazą spokoju jednocześnie.

- Niestety, komisarz nie ma teraz czasu - odparł flegmatycznie oficer dyżurny.

- Ale tak jest od tygodnia!

- Komisarz jest naprawdę zajęty. - Policjant z trudem ukrył ziewnięcie.

- Opiszę was w gazecie! - Wzór i oaza zaczynały jakby słabnąć na jakości.

- To pana obywatelskie prawo - dyżurny był niewzruszony.

Tak można było dyskutować bez końca, więc dał sobie spokój. Miał w planie podjechać ponownie do Woźniakowej - była skarbnicą informacji - i odwiedzić składnicę złomu. Wiele wskazywało na to, że policja interesuje się tym miejscem.

Adrian podziwiał maestrię, z jaką Woźniakowa snuła domysły. Etat w dziale „Plotki, ploteczki” miałyby pewny.

- Za głupi był żeby kraść, panie, za głupi. Jak nic, musiał widzieć jak inni kradną i zamiast siedzieć cicho, dał się złapać bandytom. A ci pewnie się nie patyczkowali, tylko chlast i po Jaśku... - rozmarzyła się.

- Przesada. - Reporter starał się sprowadzić ją na ziemię. - Nastraszyliby go i tyle. I pewnie był pijany, kto by mu tam uwierzył.

- To zależy panie, co kradli. Na pewno przerabiali jakieś kradzione ferrari albo inszego mercedesa. To i go złapali, włali w niego gorzałę, a potem ciach! - Poparła to wymownym gestem.

Nie podjął wątku pojenia wodą Jaśka, tylko spytał:

- A jest tu w pobliżu jakiś warsztat samochodowy? - To by urealniało wizję Woźniakowej.

- A panie, że trzy. Policja jeździ i sprawdza ich prawie co tydzień. Jak ino gdzie komu auto ukradną, to wałą tu jak w dym.

- I znaleźli kiedyś jakieś kradzione?

- Nie, jeszcze nie widziała...

Cóż, przyznać musiał, że koncepcja i tak była nośna. Zastanawiał się nad nagłówkiem do kolejnego artykułu. „Brutalność mafii” - nie, nie przejdzie z tą mafią. Może „Porażająca bezsilność policji”?

Lepszej afery nie można było sobie wymarzyć. Woźniakowa akurat kończyła wieczorne podlewanie rabatki, kiedy niebo rozbłysło niebieską poświatą. Zastygła na moment w zachwycie, po czym wyszarpała ze stojaka rower sąsiadki i wystrzeliła przed siebie niczym finalista olimpijskiego triathlonu.

Atmosfera sensacji była gęsta jak marmolada. Migające światła policyjnych samochodów, gwizdy, pokrzykiwania, ujadanie psów. Tupot buciorów kilkunastu zamaskowanych, uzbrojonych mężczyzn, trzask wyważanej blaszanej bramy.

Adrian przyleciał tu jak na skrzydłach.

- Jestem z gazety, proszę mnie przepuścić, mam prawo... - głos uwiązł mu w gardle na widok lufy karabinu wymierzonego mniej więcej pół metra od jego głowy.

- Cofnąć się! Natychmiast! - To nie było zaproszenie do dyskusji. Z kominiarki na twarzy wyzierały tylko oczy. Kompletnie bez wyrazu. Stanowcze.

Cofnął się.

Kilku zamaskowanych policjantów wybiegło przez bramę, wlokąc ze sobą jakiegoś mężczyznę. Wykręcone z tyłu ręce, pokiereszowana twarz. Szybko zniknął we wnętrzu policyjnego wozu. Za nim pojawiło się dwóch następnych w podobnym towarzystwie.

Lustrzanka Adriana trzaskała bez przerwy. Woźniakowa sapała jak eksponat z tarnogórskiego Skansenu Maszyn Parowych za czasów swej świetności – nie wiadomo, czy z emocji, czy po triathlonowym wyczynie. Garstka gapiów wspinała się na palce, usiłując dojrzeć cokolwiek zza policyjnego kordonu.

- Już dawno tych bandziorów mieli zwinąć...

- A co tam w tym warsztacie robili? - jeden z ciekawskich był nieco zdezorientowany.

-auta kradli! I zabili przy tym Jaśka! - Ponad wrzaski wybił się głos Woźniakowej.

- Jezus Maria! - Lament starszej niewiasty był szczery. Pożądanie sensacji w oczach również. Staruszka na co dzień używała balkonika, tu jednak dotarła wsparta na kij od mopa. Mop dalej dyndał przy jej ramieniu jak bojowy sztandar, tyle, że mniej kolorowy.

- Jaśka? Tego cymbała w copce, co szczyrzył się jak głupi do sera?! Nie może być...

Radiowozy kolejno odjeżdżały spod warsztatu, gapie rozchodzili się powoli.

Nazajutrz, po raz pierwszy w historii, „Gwarek” wypuścił wydanie specjalne. Fotografie zamieszczone w gazecie zrobiły furorę. A tekst czytało się z wypiekami na twarzy.

Następnego dnia rano Adrian od razu pojechał do komendy na Bytomską. Uznał, że obecność brygady antyterrorystycznej świadczy o tym, że sprawa naprawdę jest poważna. Tym razem nie zamierzał dać się spławić.

Ku jego zdumieniu, niemal natychmiast został dopuszczony przed oblicze komisarza, a ten prosto z mostu zaczął rozmowę.

- Jak wiem, interesuje się pan sprawą warsztatu samochodowego.

- Tak, chodzi też o tego jeźdźca bez głowy - potwierdził Adrian.

- Nieźle nas pan obsmarował w tym artykule. W dodatku wszystko to wymysły wysane z palca. Fantazji panu nie brakuje - stwierdził chłodno policjant.

Głupio było teraz mówić o rzeczywistym źródle tej inspiracji. Już lepiej przyznać, że to znajoma wróżka. Woźniakowej lepiej w to nie mieszać.

- Cóż, z braku informacji od was muszę sam dochodzić prawdy. - Nie zamierzał się poddawać: - Wiele razy usiłowałem z panem porozmawiać.

Karol przyglądał mu się bardzo uważnie.

- No dobra, proszę posłuchać. I nie przerywać - dodał widząc otwarte usta reportera.

- Wspólnie z komendą wojewódzką prowadzimy pewną sprawę, która wiąże się ze śmiercią Niekrasza. Przyczyną jego śmierci był alkohol. Więc nikt go nie ukatrupił, jak to pan barwnie opisał.

- A ten warsztat?

- Sprawę warsztatu mamy właściwie zakończoną, wkrótce uzyska pan szczegółowe informacje.

„Zaraz będzie dobro śledztwa” - pomyślał Adrian.

- Mając na uwadze dobro śledztwa mogę powiedzieć jedynie, że nie chodziło o kradzione samochody, ile o to, co się w nich znajdowało. Jednak ten wątek sprawy jest, jak mówiłem, zamknięty. Teraz najważniejsze są poszukiwania głowy.

- No dobra, ale co miał z tym wspólnego Niekrasz? I jego głowa?

- Więcej panu nie mogę powiedzieć. To wszystko. Żegnam. - Było to powiedziane tak kategorycznie, że postanowił nie nadużywać swojego szczęścia.

Grzecznie skinął głową i wyszedł. W myślach składał już nowy artykuł.

Po publikacji kolejnego wydania „Gwarka” okoliczni mieszkańcy z zapalem ruszyli na poszukiwania brakującej części Jaśka. Widać było nawet paru obcych, pewnie przyjezdnych.

Trzeba przyznać, że artykuł zrobił swoje. Adrian, wbrew zaleceniom policjanta, nie pominął żadnej informacji, a wartość znaleziska podniósł do rangi gdzieś pomiędzy Świętym Graalem a Bursztynową Komnatą. Zręcznie przemycił wizję opromienionego blaskiem chwały znalazcy, dodatkowo wzmacniając to sugestią o wyrażonym materialnie uznaniu policji. I nie tylko policji. Władz miasta, województwa i być może samego premiera również.

Wspomnił też o czymś ważnym, co znaleźli policjanci w warsztacie, ale tego tematu nie rozwijał. Przecież za tydzień będzie musiał przygotować kolejny artykuł.

- Chodź, zgłosił się ten twój sokista. Chętnie go z tobą odpytam. - Karol zajął do Moniki. Razem zeszli pod dyżurkę po delikwenta.

Po spisaniu danych personalnych komisarz przeszedł do rzeczy.

- Więc panie Marczyk, co pan wie na temat ostatnich zdarzeń?

Facet był nad wyraz zdenerwowany. W dłoni miętosił czapkę z daszkiem, jeszcze parę minut i mógłby ją zmieścić w pudełku zapalek.

- No... coś tam podobno znaleźli w tym warsztacie - zaczął niepewnie - ale ja tam nie wiem. Ludzie różnie gadają.

- Ja pytam o zwłoki, które znaleziono przy torach. Patroluje pan przecież ten rejon.

- Ja, ja... myślałem, że chodzi o złom - wyjąkał.

- Jaki złom? O nic takiego nie pytałem.

- No, ale ludzie gadają, że kradnę... I jak ta pani tutaj powiedziała, że z policji, to pomyślałem...

- A kradnie pan? - spokojnie wtrącił Karol.

- Gdzie tam, tylko niepotrzebne zbieram... - Zapytany uciekł spojrzeniem w bok.

Karol postanowił przyprzeć krętacza do muru i dobitnie wyartykułował:

- Panie Marczyk, sporo wiemy o panu i nie wezwaliśmy tu pana przypadkiem.

Było w tym trochę prawdy. W końcu znali dane personalne.

- Powiem tak, jest pan głęboko zaplątany w tą sprawę. I tylko od pana zależy, czy wyjdzie pan stąd w bransoletkach, czy nie.

- Ja... już mam dość... - Urywany oddech utrudniał mężczyźnie mówienie.

Po drugiej stronie biurka panowała cisza.

- On musiał wleźć nam na pakę no i... ta blacha... - kompletnie się rozkleił.

Policjanci spojrzeli na siebie. Monika podniosła palec do ust; nie chciała, by Karol pytał o cokolwiek. Kobieca intuicja była teraz bezcenna.

- Powiem panu coś. Niekrasz już nie żył, kiedy... kiedy stracił głowę - powiedziała łagodnym tonem.

- Na... naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem Marczyk.

- Tak. Wyniki sekcji są jednoznaczne. - Wiedziała, że teraz nie może odpuścić: - Więc co się tam stało?

Mężczyzna głęboko westchnął i dukał dalej.

- Byłem... byłem na rannej zmianie. I... i przy warsztacie natknąłem się na spawacza. Wkurzony był, bo wszystko miał gotowe do spawania, ale walnął się z wymiarem i taką blachę zrobił za krótko... Pogadałem chwilę, pomyślałem, że nawet krótka blacha to parę groszy i... i...

- I wrócił pan po nią?

- Tak. Jak się ściemniło. Załadowałem ją z Waldkiem, pomaga mi czasami, na pakę. Tam było już pełno gratów, więc oparli my to draństwo pionowo na burtach. Ostre to było, bo spawacze ukosują brzegi przed spawaniem. Palec se rozciąłem jak nożem...

- I? - ponagliła świadka Monika.

- Było trochę po dziesiątej, jak ruszyli my na skład. Po drodze ta cholerna blacha pierd... to znaczy... klapnęła na burty i pojechała na tył. Na szczęście nie spadła. W lusterku widziałem, że leży, zatrzymała się na tylnych słupkach. Do składu było pół kilometra, to pomyślałem, że dojadę...

- I dalej?

- Stróż nam otworzył, pokazał gdzie zwalić towar. No i jak zrzucili z Waldkiem tą blachę... zobaczyli my... tam trup bez głowy... przywalony kupą żelastwa...

- Rozumiem... - Monika dodała otuchy spoconemu Marczykowi, a ten ciągnął dalej.

- Spanikowałem. Waldek też. Trup siedział oparty o obudowę pralki. Miała podobną wysokość jak burty, więc pewnie kiedy ta blacha zjechała, to... - urwał.

- To pewnie obcięła mu głowę jak gilotyna. - dokończył trudną kwestię Karol. - Co zrobiliście potem?

- Zrzucili graty, a trupa przykryłem plandeką. Waldek wymyślił, by podrzucić nieboszczyka na tory. Że niby wypadek, albo zasnął na torach. Podjechali my tam i prawie nam się udało... Ale na samej górze nasypu wyjechał nam z rąk i chlup! Do stawku...

- Ja miałem już dość, Waldek też. Ktoś mógł nas przyfilować. Pomyślałem, że to i tak może wyglądać na wypadek, to pojechali my stamtąd...

Panująca w pokoju cisza niemal wwiercała się w uszy.

- Wie pan, że należało zgłosić to policji? - zimno zapytał Karol. Miał już dość delikatności. - Odpowie pan za kradzież, bezczeszczenie zwłok i utrudnianie śledztwa. To tak na początek.

- Ale ja go nie...

Monika spiorunowała Karola wzrokiem.

- Wiem. Pan go nie zabił. Szkoda, że nie przyszedł pan z tym do nas. - Uśmiechnęła się lekko, starając się podnieść mężczyznę na duchu. Psychicznie był wyżęty jak czapka w jego dłoniach.

Naczelnym „Gwarka” wparował z chmurną miną do redakcji i od razu pomaszzerował do biurka Adriana.

- Coś ty znowu nabroił? - warknął na powitanie.

- Ale... ale co chodzi? - młody niemalże zamarł, tak jak reszta osób w pomieszczeniu. Nieczęsto widywali tak wkurzonego szefa.

- Dzwonili z policji. Mamy się do nich zgłosić. Czego mogą chcieć?

- Może trochę przesadziłem w tym ostatnim artykule... - zaczął się bronić Adrian.

Naczelnym znał to zjawisko. Byle zaistnieć... A czego nie wiesz, musisz sobie dośpiewać. Był jednak na tyle uczciwy, że nie drażył dalej. Ostatecznie sam przeczytał artykuł przed przekazaniem do druku i zgodził się na publikację. Wiedział, że ostatnie wypociny Adriana zauważalnie zwiększyły poczytność tygodnika. Telefony urywały się po każdym wydaniu, chętnych do podzielenia się wiadomościami było tylu, jakby dekapitacja Jaśka odbyła się w blasku jupiterów na przepelnionym stadionie Gwarka.

- Dobra. - Głęboko odetchnął naczelnym. - Zbieraj się. Idziemy.

Komisarz kazał im ładnych parę minut na siebie czekać. Studiowali malownicze zacieki na suficie, gdy do środka wszedł Karol z Moniką. Usiedli naprzeciwko i w milczeniu spoglądali na reporterów.

Naczelnym uznał za stosowne zaznaczyć swoją obecność:

- Może wyjaśnią nam państwo po co tu jesteśmy? My też pracujemy.

Uśmiech na twarzy Karola upodabniał go do pająka, którego czeka zasłużone śniadanko trzepoczące się w sieci.



- No cóż, chcielibyśmy podziękować redakcji za niezwykle owocną współpracę w ciągu kilka ostatnich tygodni - zaczął radośnie komisarz.

- Współpracę? - wyrzucił z siebie zaskoczony Adrian.

- Już tłumaczę - spokojnie ciągnął Karol: - Od prawie roku byliśmy na tropie bardzo dobrze zorganizowanej grupy produkującej amfetaminę i kokainę. Sprawę prowadziła komenda wojewódzka, ale w trakcie śledztwa okazało się, że narkotyki produkowane są w naszym rejonie. Najprawdopodobniej gdzieś w samych Tarnowskich Górach.

Obydwaj słuchacze zastrzygli uszami. W ich oczach pojawił się błysk.

- Przestępcy mieli świetnie zorganizowany transport zarówno surowców, jak i gotowych produktów. Długo nie mogliśmy dojść, jak to robią. Wreszcie zlokalizowaliśmy wytwórnię. Była, jak może się domyślcie w...

- W tym warsztacie! - Adrian zaczął świecić własnym światłem.

- Zgadza się. Z czasem, pod pozorem rutynowych kontroli czy nie ma tam kradzionych aut, ustaliliśmy tożsamość laboranta i jego dwóch pomocników. Surowce przyjeżdżały w samochodach rzekomo wymagających naprawy. Ale jak wychodziły, pozostawało zagadką. Wiedzieliśmy jedynie, że pojawiają się w różnych miejscach w Polsce. Aż do czasu wypadku Jana Niekrasza... - zrobił teatralną pauzę.

Naczelny spijał z jego ust każde słowo. Adrian unosił się kilka centymetrów nad krzeselkiem.

- Kiedy znaleziono Jaśka, dostawy urwały się jak nożem uciął. Początkowo myśleliśmy, że to z powodu obecności policji w tym rejonie, w końcu warsztat jest blisko torów i miejsca znalezienia zwłok. Ale surowce przychodziły nadal. Wyglądało na to, że produkcja trwa w najlepsze, tylko zatrzymany został kanał wysyłkowy. I wtedy dotarło do nas, jaką świetną robotę zrobiła wasza gazeta.

Przed Karolem i Moniką siedziały teraz dwa ogromne znaki zapytania.

- Za sprawą pańskich artykułów, cała uwaga otoczenia została skierowana na wypadek z głową. To tłumaczyło, dlaczego w pobliżu kręcili się policjanci i przeszukiwali tory. Przestępcy prawdopodobnie poczuli się na tyle bezpiecznie, że kontynuowali produkcję. Jak wicie, poszukiwania hmmm... nie dały efektu, przestaliśmy kręcić się przy torowisku i... dostawy narkotyków znowu ruszyły. Wtedy zrozumieliśmy, że kanał przerzutowy ma coś wspólnego z koleją.

Adrian osłupiał.

- Nadawali to przesyłką peronową? Przez kierownika pociągu?

- Nie.

Monika podniosła się. Z szafki pod oknem wyciągnęła niewielką, metalową skrzynkę i położyła ją na stole.

- Robili to sprytniej. Narkotyki były pakowane do takich skrzynek. Wodoszczelne, praktycznie nie do wykrycia przez psy. Są wyposażone w silny magnes i zaczepy. Idealnie wpasowują się w podwozia wagonów towarowych. Da się to podwiesić i zdjąć jednym ruchem ręki, jeśli się wie jak i gdzie.

- Ale w takim składzie jest kilkadziesiąt wagonów, więc jak... - naczelny tarosił w roztargnieniu krawat.

- Farba widoczna w ultrafiolecie. Miejsce umieszczenia skrzynki oznaczali specjalnym sprayem. Potem wystarczyło przejść z odpowiednią latarką wzdłuż pociągu. Znak widać w nocy z daleka.

- Aaaa... - ze zrozumieniem i niejakim podziwem zareagowali dziennikarze.

- Zanim jednak zdążyliśmy namierzyć kuriera nadającego paczki, wyjechał pan z tym artykułem o złodziejach samochodów, którzy zatłukli Niekrasza. To musiało spłoszyć przestępców. Mogli z góry założyć, że wszyscy zainteresują się warsztatami.

- No i udało się. A dokładniej - prawie się udało. Laborant i pozostali wpadli w nasze ręce. Tak jak większość gotowych narkotyków. Zarekwirowaliśmy tylko cztery, pozostałe były według nich przygotowane do wysyłki i odebrane przez kuriera tego samego dnia.

- To znaczy?

- Kurierzy nie znali wytwórców, ci zaś nie znali kurierów. Skrzynki były podczepiane magnesem do ogrodzenia warsztatu. Ktoś z zewnątrz sięgał ręką, odczepiał i tyle. Mieliliśmy tylko niewielką szansę na to, że ten człowiek okaże się na tyle zdeterminowany, że będzie próbował wysyłki. No i tu przydał mi się pan kolejny raz. Byłem pewny, że po takiej wrzawie zjawi się pan żądny informacji. Czekałem na pana.

Naczelny nie wytrzymał i wybuchnął.

- Jak można? To była manipulacja, cholerna manipulacja mediami. To się nadaje do opisanego i ukarania i... - Nie skończył, Karol przerwał mu ruchem ręki.

- Wystarczy. Nikogo pan nie oskarży. Przecież prosiłem o powściągliwość, nieprawdaż?  
- spojrzął na Adriana.

Ten nic nie odpowiedział.

- Kiedy po publikacji pańskiego artykułu ruszyły poszukiwania brakującej głowy, paru naszych funkcjonariuszy w cywilu miało na oku torowisko. Szukaliśmy oczywiście kuriera. Przyglądaliśmy się ochronie kolei, byli najbardziej podejrzani. Okazało się jednak, że to nie oni.

- A kto? - odezwał się znak zapytania w osobie redaktora.

- Złomiarz. Niejaki Waldek, który wspólnie z jednym z sokistów regularnie kradł złom z kolejowego warsztatu. Ostatnią partię, te cztery skrzynki, też chciał wysłać, ale jak wszystko trochę ucichnie. Po paru dniach nasi ludzie w nocy wypatrzyli go, jak z czymś pod pachą kręcił się przy torach. I zdjęli go razem z przesyłkami.

- Wyszedłem więc na idiotę? - zapytał Adrian, mistrzowsko ujmując w pytaniu retorycznym mieszaninę niedowierzania i rosnącej irytacji.

- Cóż... niekoniecznie. - Monika uśmiechnęła się życzliwie.

- Dodam jeszcze, że Waldek razem ze współnikiem, niejakiem Marczykiem, był zamieszany w sprawę Niekrasza - dorzucił Karol. - Przypadkowo Jasiak schował się na ich przepełnionym żelastwem samochodzie. Pewnie zasnął i razem z oparami alkoholu wyzionął też ducha. A kiedy auto zaczęło się tłuc po wybojach, to kawał ostrej blachy... ciach! - streścił wydarzenia komisarz. - Złomiarz stracił zimną krew. Widok Jaśka bez głowy uzmysłowił mu, że robi się niebezpiecznie i interes może się definitywnie skończyć. Najpierw chciał odczekać, aż szum wokół torów się skończy. Ale zabrakło mu cierpliwości. I zrobił błąd.

- Więc to wszystko zasługa Jaśka? - po chwili odezwał się Adrian.

- Tak. Dzięki niemu mamy wszystkich.

Woźniakowa oklapła, mimo, że miała już komu ciosać kołki na głowie (sic!). Jej stary znów pił i przestał zmywać po obiedzie. Adrian przerzucił się na redagowanie rubryki ogłoszeń motoryzacyjnych. Karol z Moniką pięli się po szczeblach policyjnej kariery w komendzie wojewódzkiej.

A Jasiak zapewne uśmiechałby się w zaświatach, gdyby jego cielesna powłoka była kompletna. Dlatego podczas relaksującej przechadzki po mniej uczęszczanych drogach w Lasowicach bądźcie uważni; zachowajcie też czujność pedałując tamtędy na rowerach... Może to akurat do Was gdzieś z krzaków uśmiechnie się szczęście... to znaczy Jasiak?